

Nie zwracać ani guzika

27 maja 2017

Nieważne, która reprivatyzacja jest bardziej dzika – pisowska czy platformerska. Każda jest złem.

Telewizja rządowa, zwana publiczną, od kilku tygodni codziennie oburza widzów sensacyjnymi doniesieniami o dzikiej prywatyzacji w Warszawie. O staruszcze, od której handlarze roszczeniami wyłudzili za 50 zł odkup prawa własności nieruchomości wartej kilka milionów. O kamienicach w ten sposób wyłudzonych i wyprocesowanych, a potem brutalnie „czyszczonych” z lokatorów. O organizacji przestępczej adwokatów kierujących tym procederem. No i oczywiście o odpowiedzialności PO, która od jedenastu lat rządzi miastem. Na pocieszenie zapewnienie: komisja nadzwyczajna, powołana przez Sejm i powierzona kierownictwu wice-Ziobry Patryka Jakiego, oczyści tę stajnię Augiasza i przywróci sprawiedliwość. Dodatkowo dostarczy ludowi igrzysk do oglądania i słuchania.

Nadużycia są rzeczywiste i oburzające, a ich skala ogromna. Podobno ok. 150 warszawskich prywatyzacji budzi wątpliwości co do zasadności prawnej. Zatem tylko przyklasnąć zapałowi, z którym władze PiS wzięły się za robienie porządku. Tym bardziej, że platformersi bronią się niezdarnie, powołując się głównie na wątpliwą konstytucyjność komisji nadzwyczajnej.

A jednak w tej głośnej kampanii przywracania sprawiedliwości brzmi fałszywa nuta, która każe wątpić o uczciwości jej intencji. Z kilku powodów.

Po pierwsze, podobny proceder od lat trwał w wielu miastach pod rządami różnych administracji, zresztą w Warszawie po rządami Lecha Kaczyńskiego również. I wszystkie opcje polityczne to tolerowały.

Po drugie, na celowniku obecnych naprawiaczy znalazły się

jedynie reprivatyzacje „dzikie”, czyli wątpliwe pod względem prawnym. A co z wielokrotnie liczniejszymi reprivatyzacjami, które prawu nie uchybiły, a których beneficjentami okazali się autentyczni, choć często odlegli potomkowie dawnych właścicieli, a nie nabywcy roszczeń. W wielu wypadkach organizacje kościelne. Skutki społeczne tych „legalnych” reprivatyzacji były podobne jak dzikich. Ofiarą padły setki kamienic, z których nowi właściciele pozbyli się lokatorów. Jak choćby kamienice przy al. Róż w Warszawie. Także niejedna szkoła lub szpital, jak choćby dawna lecznica Ministerstwa Zdrowia przy ul. Emilii Plater, przez lata dostosowywana do potrzeb medycznych, a po reprivatyzacji przekształcona w obiekt biurowy. Czy też podwarszawska gmina Michałowice, w której zupełnie legalnie w ręce potomków hrabiów Grocholskich ma wrócić ponad 1000 działek zabudowanych i zamieszkałych przez kilka tysięcy ludzi, którzy te działki posiadli w najlepszej wierze i zgodnie z prawem.

Nasuwa się nieodparte wrażenie, że mamy do czynienia z wojną dwóch gangów reprivatyzacyjnych, które skupiając uwagę na jednym tylko, choć bardzo oburzającym fragmencie sprawy, odwracają uwagę od jej istoty, sypiąc opinii społecznej piaskiem w oczy. Główną bowiem przyczyną nieszczęścia, również źródłem przestępczej patologii jest reprivatyzacja jako taka.

Zamiar odtworzenia kilkadziesiąt lat po wielkiej wojnie, okupacjach i rewolucjach uprzedniej struktury własności, i to w odniesieniu jedynie do niektórych poszkodowanych, tych najzamożniejszych, jest sprzeczny z narodową racją stanu i urąga zdrowemu rozsądkowi.

Grozi obciążeniem żyjącego pokolenia ciężarem nie do uniesienia. Ponadto powoduje dezorganizację wielu sfer usług i życia. Nieuchronnie też rodzi patologie, spekulacje roszczeniami, fałszowanie pokrewieństw itp. Zdawali sobie z tego sprawę mądrzy ustawodawcy w przeszłości, gdy wystrzegali się reprivatyzacji jak zarazy.

W czasie francuskiej restauracji po upadku Napoleona (1815-1830) rządy królewskie na różne sposoby srożyły się nad instytucjami i ludźmi epoki rewolucji i bonapartyzmu. Panoszył się „biały terror”, szlachcie przywrócono liczne przywileje i synekury, klerowi oddano w pacht szkolnictwo. Jednak własności skonfiskowanej, kościelnej i szlacheckiej, nie zwrócono. Nie pozwoliły na to mocarstwa koalicji, która pokonała Napoleona i zwróciła Burbonom tron, ale nie chciała prowokować nowej rewolucji.

Polski Sejm Ustawodawczy po odzyskaniu niepodległości w 1919 r. po debacie odmówił zwrotu posiadłości skonfiskowanych przez władze carskie uczestnikom powstań narodowych. Szło o blisko 2 tys. dużych posiadłości rolnych. Żyli jeszcze właściciele lub ich dzieci. Sejm orzekł jednak, że tytuły własności już się przedawniły, a ponadto państwa dopiero co wskrzeszonego na takie prezenty nie stać. Dobra upaństwowiono i przeznaczono na reformę rolną.

W 1990 r., decydując się na zjednoczenie Niemiec, 4 mocarstwa zwycięskie w II wojnie światowej zawarły z obu państwami niemieckimi rodzaj traktatu pokojowego „O ostatecznej regulacji w odniesieniu do Niemiec”. W preambule zastrzegły niepodważalność i niezaskarżalność regulacji przeprowadzonych w czasie wojny i w czasie bezpośredniej okupacji po wojnie przez te mocarstwa. A właśnie w tym czasie (1945-1948) dokonano największych przekształceń własnościowych w Niemczech. Mocarstwa w ten sposób uchyliły możliwe rewindykacje.

Masowy ruch ludowy „Solidarności” nie planował restauracji kapitalizmu w Polsce i nie brał pod uwagę reprivatyzacji. Bronisław Łagowski, bardzo daleki skądinąd od tradycji klasycznie lewicowej, ujął to tak: „Gdyby ludziom pierwszej »Solidarności« powiedziano, że ich ruch doprowadzi do reprivatyzacji i wyrzucenia dziesiątków (a może setek) tysięcy ludzi z mieszkań, które legalnie i bezterminowo zajmowali, uznaliby to za propagandę prowokatorów. Dziś, gdy to się

dzieje, milczą ich przywódcy i milczy lewica postkomunistyczna. Ideologia panująca jest irracjonalna i sięga głęboko. Utrudnia myślenie w kategoriach interesu narodowego”.

Ideologicznym argumentem na rzecz bezwzględnej reprivatyzacji ma być święte prawo własności, rzekomy fundament kapitalizmu i demokracji czy nawet zachodniej cywilizacji. Jest to oszustwo lub nieuctwo.

Opinia Andrzeja Walickiego, wybitnego znawcy przedmiotu, jest w tej kwestii jednoznaczna: „Nazywam to stanowisko »staroliberalnym«, ponieważ nowoczesny liberalizm, stworzony przez Johna Stuarta Milla, odrzucił je już w wieku XIX, wraz z niepodważalnym odkryciem, że bogactwa klasy panującej są w istocie tworem całego rozwoju społecznego, a nie jedynie różnic w indywidualnej pracowitości i przedsiębiorczości. Było to oczywistym uzasadnieniem prawa społeczeństwa do redystrybucji własności w imię interesu społecznego i do uznania za nadrzędne prawa wszystkich ludzi do maksymalnie wszechstronnego rozwoju. (...) Idee takie, wszechstronnie rozwinięte przez tzw. nowy liberalizm pierwszej dekady XX wieku, legły u podstaw imponującego rozwoju liberalnego państwa opiekuńczego, przyjętego po drugiej wojnie światowej przez wszystkie rozwinięte kraje zachodnie. Dla ludzi mojego pokolenia i mojej (jak słusznie lub mylnie sądziłem) formacji intelektualnej wydawało się to oczywiste. Nie trzeba było być lewicowcem, aby podzielać takie przekonanie. Ale oto nagle w latach 90. okazało się, że istnieją w Polsce siły społeczne zdolne wymusić przyzwolenie na reprivatyzację właśnie, i to reprivatyzację nie tylko środków produkcji, lecz także – i przede wszystkim – własności użytkowej, prywatnej i społecznej, czyli mieszkań i lokali użyteczności publicznej”.

Z powodu tej reprivatyzacji Walicki sądzi, że współczesną Polskę nie można uważać za państwo w pełni demokratyczne.

Obie partie posolidarnościowe wydają się pod tym względem

niereformowalne, reprivatyzacji się nie wyrzekną. Ale opozycja, a zwłaszcza ugrupowania mieniające się lewicą? Zamiast kibicowania solidaruchom w wojnie o to, jaka i czyja reprivatyzacja jest lepsza i uczciwsza, powinni wystąpić z postulatem uchylecia wszelkich roszczeń reprivatyzacyjnych. Z niewielkimi być może wyjątkami. Nie ma bowiem prywatyzacji sprawiedliwej i bezpiecznej społecznie.

Sprzeciw wobec roszczeń dawnych posiadaczy nie tylko przysporzyłby lewicy głosów, ale przyczyniłby się do jej jednoczenia w obronie nadrzędnych interesów społecznych i racji państwowych.

Autorstwo: M.Z.

Źródło: Nie.com.pl